

„Nie ma nic piękniejszego, niż śmierć pięknej kobiety”.

Edgar Allan Poe

Meredith

tamtej jesieni na dworcu
spotkałem martwą kobietę

nazwałem ją meredith
by była jak drzenie
plam na owocu

pragnąłem ją zanurzyć
w gorącej porcelanie
wybudować dom
lub gabinet luster

przyjechali po nią
zdarli podkolanówki
rozpalili ogniska respiratorów

do dziś gdy słyszę
krzyk karetki
jest przez moment tak

jakby meredith zsuwała
czarną rękawiczkę

Marie Rouen

Przyniosę pomarańcze, będzie jak u Prousta,
wyrosną rozchodniki na krawędziach lustra,
ty zaś, Marie, zasłonisz swoim dzieciom oczy,
by nie ujrzały matki marzącej po nocy.

Wpierw z twojego ramienia zdejmę akt nadziei,
suchym szeptem poprosisz, abym się ośmielił,
pogaszę wszystkie lampy, jakby był już wrzesień,
znów okłamię cię, mówiąc: „Jestem Ulisesem”.

Dziś, gdy stoisz tu naga, chcąc się przemienić,
trzeba ci wierzyć, Marie, w cierpki smak kamieni,
w piersi gorzkie od potu, w śmierć każdej pamięci,
także w to, że Bóg dobry kiedyś nas zadręczy.

Znów zaczniesz się ubierać i po co to, Rouen,
znów powrócisz do dzieci, jak męczący sen,
ja usłyszę, że pada, nim skoczę przez okno,
przeczytam rozdział z Prousta, zjem parę winogron.

Kobieta śpiąca w hotelu

Portier zdejmuje skórę z głów zielonych krzesel,
rubinowi mesjasze skryci w moim brzuchu
próbują przewyciężyć śmierć wszystkich odruchów,
lecz piąta strona świata to krzyk martwych desek.

Dziś zasypiają we mnie Spielberg i de Palma,
koturny ich smokingów budzą lokatorów,
w recepcji dźwięk tłuczenia starych żyrandolów
poprzedza niewymownie szklanousta trauma.

Pod wieczór mnie odwiedzi, zostanie na nocleg
człowiek, który przyrzekał, że zburzy panteon,
gdzieś na zboczu łazienki zrzuci ciała obce,

zamieni się w kolędę lub w gasnący eon,
ja zagram Antygonę w pościeli jak w todzie,
pomyślę o dzieciństwie bezradnym jak Kreon.

Martwe

„I tak się właśnie kończy świat
Nie hukiem ale skomleniem”

T.S. Eliot

Słowo musi być martwe do samego końca,
słodka kula owoców będzie poręczeniem,
że nic tu się nie zmieni, gdy zgasną płomienie,
nawet jeśli powrócą wszyscy odchodzący.

Wierzę w tamtą kobietę ze srebrnym zegarkiem,
krzyżuję jej nadgarstki między draperiami,
pozwalam także zasnąć, nim podniosę kamień
i rozerwę jej prośby gdzieś nad Central Parkiem.

Wybacz mi pejzaż, Alice, spaliłem dzienniki,
dziś wszystko jest strukturą: ryby, fresk i eter,
spróbuj podnieść mnie z ziemi, wniesić do bazyliki,

przypominaj przez chwilę obłok lub monetę,
i nie patrz, proszę, w tę stronę, nie miażdż mi ust krzykiem,
gdy znów zabiję słowo jak tamtą kobietę.